

DEAN  
KOONTZ



INTERLUDIUM  
ODDA

# 1

Mówi się, że każda droga prowadzi do domu, jeżeli tylko pragniesz do niego dotrzeć. Tęsknię za domem, za miastem Pico Mundo i pustynią, na której ono rozkwita, niestety wybieram wciąż drogi, które wiodą mnie od jednego piekła do kolejnego.

Siedząc w mercedesie na przednim fotelu pasażera, obserwuję przez boczną szybę gwiazdy, sprawiają wrażenie nieruchomych, lecz w rzeczywistości są w ciągłym ruchu i nieustannie się oddalają. Wydają się wieczne, ale są tylko słońcami i pewnego dnia się wypalą.

Stormy Llewellyn była jeszcze dzieckiem, kiedy straciła matkę, Cassiopię. Ja straciłem Stormy, gdy ona i ja mieliśmy po dwadzieścia lat. Jedną z konstelacji nieba północnego nazywa się Kasjopeja. Żadnej grupy odległych słońc nie nazwano od imienia

Stormy.

W nocy wysoko na niebie widzę imienniczkę Cassiopei, ale Stormy widuję tylko w swojej pamięci, gdzie pozostaje tak żywa, jak żadna z żyjących osób, które poznaję.

Gwiazdom i wszystkiemu we wszechświecie dał początek Wielki Wybuch, który nastąpił, kiedy zaczął się też czas. Jakieś miejsce istniało przed powstaniem wszechświata i będzie nadal istniało, mimo że sam wszechświat się zapadnie. W tym tajemniczym miejscu, poza czasem, czeka na mnie Stormy. Jedynie z upływem czasu czas zostanie pokonany i jedyną drogą z powrotem do mojej dziewczyny jest droga naprzód.

Tymczasem z powodu ostatnich wydarzeń znowu zostałem obwołany bohaterem i po raz kolejny wcale się nim nie czuję.

Annamaria wbija mi do głowy, że niewiele godzin temu ocalałem ileś miast, ratując życie setek tysięcy ludzi zagrożonych terrorystycznym atakiem nuklearnym. Chociaż jest to najprawdopodobniej faktem, mam poczucie, że w przebiegu tych wydarzeń straciłem część swojej duszy.

By udaremnić spisek, musiałem zabić czterech mężczyzn i jedną młodą kobietę. Gdybym dał im jakąkolwiek szansę, oni zabiliby mnie, jednakże to,

iż działałem w samoobronie, nie powoduje, że te zabójstwa mniej ciężą mi na sumieniu.

Nie urodziłem się, żeby zabijać. Jak wszyscy urodziłem się, by czerpać radość z życia. Niestety, ten zdegenerowany świat łamie większość z nas, bezlitośnie rozgniatając wszystko stalowymi gąsienicami.

Opuściwszy Magic Beach w obawie przed pościgiem, prowadziłem mercedesa, którego użyczył mi mój przyjaciel Hutch Hutchison. Po przejechaniu kilkunastu kilometrów, kiedy przygniotły mnie wspomnienia scen przemocy, zatrzymałem się na poboczu i zamieniłem miejscami z Annamarią.

Siedząc za kierownicą, Annamaria usiłuje mnie pocieszyć.

— Życie jest ciężkie, młody człowieku — mówi — ale nie zawsze tak było.

Znam ją od niespełna dwudziestu czterech godzin i im dłużej z nią przebywam, tym bardziej mnie zadziwia. Ma chyba osiemnaście lat, jest więc o cztery lata młodsza ode mnie, lecz wydaje się dużo starsza. To, co mówi, często brzmi zagadkowo, chociaż mam wrażenie, że mogłoby stać się dla mnie jasne, gdybym był mądrzejszy, niż jestem.

Zwyczajna dziewczyna, co nie znaczy nieatrakcyjna, drobna, z nieskazitelną cerą i wielkimi czarnymi

oczami, jest w ciąży, na oko w siódmym miesiącu. Każda inna w jej wieku i w jej sytuacji, zupełnie sama na świecie, powinna być zestresowana, ale Annamaria jest spokojna i pewna siebie, jakby wierzyła, że wiedzie cudowne życie — i często na to wygląda.

Nie łączy nas romantyczne uczucie. Z mojej strony to niemożliwe po związku ze Stormy. Łączy nas jednak, chociaż o tym nie mówimy, coś w rodzaju miłości, platonicznej, lecz głębokiej, co jest dziwne, zważywszy, że znamy się tak krótko. Nie mam siostry, ale być może tak właśnie bym się czuł, gdybym był bratem Annamarii.

Z Magic Beach do Santa Barbara, dokąd zmierzamy, jedzie się cztery godziny prosto jak strzełił wzdłuż wybrzeża. Po niecałych dwóch godzinach jazdy, około trzech kilometrów za malowniczym miasteczkiem Moonlight Bay i Fort Wyvern — bazą wojskową zamkniętą po zakończeniu zimnej wojny — Annamaria zaskakuje mnie pytaniem.

— Czy czujesz jakieś przyciąganie, dziwaku?

Nazywam się Odd Thomas, co wyjaśniałem w poprzednich tomach tego pamiętnika i bez wątpienia będę wyjaśniał w kolejnych, ale w trakcie tej eskapady, kiedy zbaczam z głównego szlaku mojej życiowej podróży, tego nie zrobię. Przed Annamarią tylko Stormy mówiła do mnie „dziwaku”.

Jestem i czuję się zwyczajnym kucharzem od szybkich dań, choć nie pracuję w restauracji od czasu, gdy osiemnaście miesięcy temu wyjechałem z Pico Mundo. Tęsknię do skwierczącej patelni i frytownicy. To zajęcie, które pochłania cię całego. Jak praktykowanie zen.

— Czy czujesz to przyciąganie? — pyta ponownie Annamaria. — To jak siły grawitacyjne Księżyca powodujące ruch fal w oceanie.

Zwinięty na tylnym siedzeniu golden retriever Raphael zawył, jakby w odpowiedzi na pytanie Annamarii. Nasz drugi pies, biały owczarek niemiecki Boo, nie wydaje oczywiście żadnych dźwięków.

Rozparty na fotelu, z głową spoczywającą na zimnej szybie drzwi od strony pasażera, na wpół zahipnotyzowany układami gwiazd, nie czułem nic niezwykłego, póki z ust Annamarii nie padło to pytanie. Lecz po nim wyczuwam nieomylnie, że coś tej nocy wzywa mnie nie do Santa Barbara, tylko gdzie indziej.

Jestem obdarzony szóstym zmysłem, co się przejawia na kilka sposobów. Po pierwsze, widzę duchy błakających się zmarłych, którzy nie chcą przejść na Drugą Stronę. Często oczekują ode mnie, że wymierzę sprawiedliwość ich mordercom lub pomogę im wskrzesić w sobie odwagę, żeby przejść

z tego świata na tamten. Mam też od czasu do czasu prorocze sny. A od opuszczenia Pico Mundo po gwałtownej śmierci Stormy wydaje mi się, że jak magnes przyciągają mnie niebezpieczne miejsca, jakby jakaś Moc życzyła sobie, bym do nich trafiał.

Moje życie ma tajemniczy cel, którego nie rozumiem, i dzień po dniu, konfrontacja po konfrontacji dopiero w drodze dowiaduję się, dokąd mam się udać.

Na zachodzie widzę teraz czarne i złowróżbne morze, lodowaty księżyc rzuca na nie zniekształcone odbicie, które rozpływa się w wodzie, tworząc długie srebrzyste pasmo.

W świetle reflektorów przerywana biała linia na asfalcie biegnie na południe.

— Czy czujesz przyciąganie? — pyta znowu Annamaria.

Wzgórza są ciemne, ale przed nami na prawo wabią podróżnych ciepłe światła budynków, które nie wyglądają na miasteczko.

— Tam — mówię. — Tamte światła.

Wypowiadając te słowa, wiem już, że w tym miejscu czai się śmierć. Lecz nie możemy zawrócić. W takich przypadkach muszę działać. Poza tym kobieta obok mnie stała się jakby moim zapasowym sumieniem, delikatnie przypominając w momentach

mojej słabości, jak mam postąpić.

Sto metrów za zachęcającą tablicą Jadło Paliwo Kwatera majączy zjazd z autostrady. Annamaria pokonuje skręt z dużą prędkością, ale pewnie i umiejętnie. Zatrzymujemy się przed znakiem STOP.

— Też to czujesz, czy tak? — pytam.

— Nie mam takiego daru jak ty, dziwaku. Nie wyczuwam takich rzeczy. Ale wiem.

— Co wiesz?

— Wiem, co mam wiedzieć.

— Czyli co?

— Czyli to, co potrzebuję wiedzieć.

— A co to jest to coś, co potrzebujesz wiedzieć?

Uśmiecha się.

— Wiem, co jest ważne, jak to wszystko funkcjonuje i dlaczego.

Jej uśmiech sugeruje, że lubi mnie drażnić enigmatycznymi wypowiedziami, ale nie ma złośliwości w tym przekomarzaniu się ze mną.

Poza tym nie wierzę, że jest dwulicowa. Jestem przekonany, że zawsze mówi prawdę. I nie mówi jakimś kodem, jak by mogło się wydawać. Mówi głębokie prawdy, ale być może w poetyckim stylu: nie wprost, tylko operując paradoksem, symbolami, metaforami.

Spotkałem ją na moło w Magic Beach. Nic właściwie



nie wiem o jej przeszłości. Nie znam nawet jej nazwiska, bo jak twierdzi, nie ma takowego. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem Annamarię, wyczułem, że ukrywa niezwykle sekrety i że potrzebuje przyjaciela. Przyjęła ofertę przyjaźni z mojej strony i odwzajemniła się tym samym. Jednak konsekwentnie strzeże swoich sekretów.

Znak STOP stoi na skrzyżowaniu z dwupasmową drogą, równoległą do stanowej autostrady. Annamaria skręca w lewo i podjeżdża pod otwartą mimo cichych godzin przed świtem stację paliw, reklamującą się tanią benzyną i mechanikiem na zawołanie.

Zamiast zwyczajowych rzędów dwustronnych dystrybutorów, jakie stacje oferują kierowcom tirów, ta ma tylko cztery stanowiska przy dwóch wysepkach. W tym momencie żadne nie jest zajęte.

Biało otynkowany budynek z lat trzydziestych, z płaskim dachem, ozdobiony elementami w stylu art déco, z fryzem widocznym spod gzymsu w świetle lamp. Fryz w kolorach żółtym, szarym i ciemnoniebieskim przedstawia stylizowane samochody i rosyjskie charty w biegu.

Obiekt jest uroczy, małe architektoniczne cacko z okresu, kiedy nawet skromne budynki były często niebanalnie projektowane i zdobione. Jest w nienagannym stanie, a ciepłe światło w szybkach

francuskich okien bez wątpienia zachęca przeciętnego podróżnego, ale mnie nic z tych rzeczy nie omami.

Intuicja czasami podszeptuje mi to i owo, lecz rzadko odzywa się głośno. Tym razem alarmuje mnie odpowiednikiem krzyku, ostrzegając, że chociaż to miejsce cieszy oko, to pod zewnętrzną powłoką kryje się coś przerażającego.

Na tylnym siedzeniu znowu zawył Raphael.

— Nie podoba mi się to miejsce — mówię.

Nie robi to wrażenia na Annamarii.

— Gdyby ci się podobało, młody człowieku, nie znaleźlibyśmy się tutaj, nie byłoby powodu.

Przy budynku stacji stoi pojazd pomocy drogowej. Jedne z dwojga drzwi garażowych są podniesione i mimo nocnej godziny jakiś mechanik reperuje jaguara. Obserwuje go, popijając kawę z papierowego kubka, elegancko ubrany mężczyzna z burzą srebrnych włosów — prawdopodobnie właściciel jaguara ściągniętego tu z pobocza autostrady. Żaden z mężczyzn nie zaszczyca nas spojrzeniem, gdy wolno suniemy obok.

Dalej, z boku stacji, parkują trzy wielkie tiry różnych marek — Mack, Cascadia i Peterbilt. Te starannie wypolerowane olbrzymy należą prawdopodobnie do prywatnych przedsiębiorców, ponieważ mają wzory na lakierze, liczne dodatkowe

chromowane elementy, podwójne nadkola i inne ekstradetale.

Za tirami wyłania się długi niski budynek restauracji, w podobnym stylu co stacja paliw. Knajpka reklamuje się umieszczonym na dachu czerwono-niebieskim neonem: Harmony Corner/24 godziny na dobę. Stoją przed nią dwa pick-upy i dwa SUV-y, a kiedy Annamaria parkuje obok, reflektory mercedesa oświetlają napis informujący, że o wynajem domków należy pytać wewnątrz.

Trzeci i ostatni element tego biznesu to dziesięć domków na tyłach restauracji. Ustawione są w półkole pod osłoną dorodnych nowozelandzkich drzewek świątecznych i wdzięcznych akacji — na to wszystko pada łagodne, nieco magiczne światło lamp. Cały obiekt wygląda na kompleks motelowy z wczesnego okresu turystyki samochodowej, gdzie Humphrey Bogart być może ukrył się z Lauren Bacall, co skończyło się strzelaniną z Edwardem G. Robinsonem.

— Będą mieli wolne dwa domki — przepowiada Annamaria, wyłączając silnik. Otwieram drzwi. — Nie — powstrzymuje mnie. — Zostań w aucie. Nie jesteśmy daleko od Magic Beach, a być może wystawiono za tobą list gończy.

Udaremniwszy, niewiele godzin temu, dostarczenie grupom terrorystycznym czterech bomb

termojądrowych, zadzwoniłem od razu do biura FBI w Santa Cruz z informacją, że detonatory do tych czterech bomb znajdują w Magic Beach w pojemniku Armii Zbawienia z używaną odzieżą. Oni wiedzą, że nie jestem jednym ze spiskowców, ale tak czy owak, chcą ze mną rozmawiać. Dla FBI to niczym bal naturalny i nie wyobrażają sobie, że mógłbym wymknąć się z zabawy z kimś innym niż z nimi.

— Nie znają mojego nazwiska — zapewniam Annamarię. — I nie mają mojego zdjęcia.

— Mogą mieć portret pamięciowy. Zanim się tutaj ludziom pokażesz, warto się dowiedzieć, ile miejsca poświęcono temu w wiadomościach.

Wyjmuję portfel z tylnej kieszeni spodni.

— Mam trochę pieniędzy.

— Też mam. — Annamaria odpycha moją rękę z portfelem. — Wystarczy mi.

Wciskam się w fotel w ciemnym samochodzie, a Annamaria rusza do restauracji.

Ma sportowe buty, szare spodnie i workowaty sweter, który nie maskuje jednak jej ciąży. Rękawy są za długie, sięgają niemal po czubki palców. Wygląda jak bezdomne dziecko.

Ludzie reagują na nią życzliwie, w każdym natychmiast wzbudza zaufanie. Mało prawdopodobne, żeby ktoś ją odprawił tylko dlatego, że nie ma karty

kredytowej ani dowodu tożsamości.

W Magic Beach zajmowała apartament nad garażem, nie płacąc za wynajem. Mówi, że chociaż nigdy o nic nie prosi, ludzie sami z siebie oferują jej, czego potrzebuje. Przekonywałem się nieraz, że to prawda.

Twierdzi, że są też tacy, którzy chcą ją zabić, ale sprawia wrażenie, że się ich nie boi, kimkolwiek oni są. Muszę jeszcze zobaczyć jakiś dowód na to, że ona w ogóle czegokolwiek się boi.

Zapytała mnie wcześniej, czy umarłbym dla niej. Bez wahania odpowiedziałem, że tak — z pełnym przekonaniem.

Nie rozumiem ani swoich reakcji na nią, ani źródła jej siły. Jest kimś innym, niż się wydaje. Wmawia mi, że już wiem, kim jest, i że wystarczy, żebym zaakceptował tę wiedzę, którą posiadałem.

Dziwne. A może i nie.

Już dawno temu dotarło do mnie, że mój szósty zmysł nie jest ewenementem i że świat to miejsce przepełnione niezliczonymi osobliwościami. Większość ludzi pozostaje ślepa na prawdziwą naturę egzystencji, ponieważ boją się wiedzieć, że świat jest pełen tajemnic i znaczeń. Nieporównanie łatwiej jest żyć w świecie znanym tylko z wierzchniej warstwy, nic nieznaczącej i niczego od nas niewymagającej.

Ponieważ ja kocham nasz cudny świat, jestem z natury optymistyczny i pogodny. Mój przyjaciel i mentor Ozzie Boone mówi, że pogoda ducha to jedna z moich lepszych cech. Lecz przypomina mi czasami o pływającym na powierzchni gównie, jakby chciał mnie ostrzec, że nadmiar pogody ducha może prowadzić do beztroski.

Niestety, w moje najgorsze dni, które zdarzają się rzadko, lecz ten jest jednym z takich, potrafię poczuć się aż tak zdołowany, że wydaje mi się, iż jestem na dnie i tam pozostanę. Nawet mi się nie chce szukać drogi w górę. Podejrzewam, że poddawanie się smutkowi to grzech, ale mój obecny smutek nie oznacza czarnej depresji, przypomina raczej długi ponury zmierzch.

Wraca Annamaria, siada za kierownicą i wręcza mi jeden z dwóch kluczy.

— To sympatyczne miejsce, lśniące czystością i pachnące dobrym jedzeniem. Nazywa się Harmony Corner, ponieważ cały obiekt stanowi własność jednej rodziny, o nazwisku Harmony, i przez nią jest obsługiwany, a to liczny klan, sądząc z tego, co powiedziała mi Holly Harmony. Jest jedyną kelnerką na tej zmianie.

Annamaria włącza silnik mercedesa i jedzie w stronę motelowych domków, co rusz popatrując na

mnie.

Parkuje między dwoma domkami, wyłącza silnik i światła.

— Melancholia bywa kusząca, kiedy towarzyszy jej rozczulanie się nad sobą — mówi.

— Nie rozczulam się nad sobą — zapewniam.

— Więc jak byś to nazwał? Ubolewaniem nad własnym losem?

Postanawiam nie odpowiadać.

— Litość dla samego siebie? Współczucie wobec samego siebie? Składasz sobie samemu kondolencje?

— Nie sądziłem, że w twojej naturze leży naigrawanie się z facetów.

— Oj, młody człowieku, ja się z ciebie nie naigrawam.

— Więc jak byś to nazwała?

— To tylko życzliwa ironia.

Światło lamp ogrodowych przesączające się przez poruszane łagodnym wietrzykiem liście drzew przebija złotym blaskiem przez przednią szybę i miga na twarzy Annamarii, z pewnością na mojej również, jakby filmowano nas, gdy jesteśmy atakowani przez jakiś skrzydlaty rój.

— Zabiłem dziś w nocy pięćoro ludzi — przypominam jej.

— Czy byłoby lepiej, gdyby ci się nie udało pokonać

zła, nikogo nie zabijając?

Nic nie mówię.

Ona pyta dalej.

— Doszłoby do masowego morderstwa... chyba nie sądzisz, że oni poddali by się bez walki na twoją stanowczą prośbę?

— Oczywiście, że nie.

— Czy byliby skłonni dyskutować z tobą nad tym, czy zbrodnie, jakich chcą dokonać, mają moralne uzasadnienie?

— Ironię rozumiem, ale nie odbieram jej jako życzliwej.

Annamaria nie ma litości.

— Być może zechcieliby wystąpić z tobą w programie sędzi Judy i pozwolić jej, by zdecydowała, czy mieli moralne prawo zrzucić bomby nuklearne na cztery miasta, czy nie.

— Nie. Za bardzo by się bali sędzi Judy. Ja też się jej boję.

— Zrobiłeś dokładnie to, co mogłeś i powinieneś zrobić, młody człowieku.

— No dobrze. Ale dlaczego muszę trafić z Magic Beach do Harmony Corner jeszcze tej samej nocy? Za dużo śmierci. Niezależnie od tego, jak bardzo źli byli tamci ludzie i jak bardzo zły może być ktoś tutaj... Nie jestem maszyną do zabijania.



Wyciąga do mnie rękę, chwytam ją. Chociaż nie potrafię wytłumaczyć dlaczego, sam ten dotyk podnosi mnie na duchu.

— Być może tutaj nie dojdzie do żadnego zabijania  
— mówi Annamaria.

— A jednak wszystko przyspiesza.

— Co?

— Moje życie, te zagrożenia, to szaleństwo...  
wszystko wali się na mnie jak lawina.

Błyski ciepłego światła migają nie tylko na twarzy Annamarii, ale także w jej oczach, gdy ściska moją rękę.

— Czego ty chcesz, Oddie? Na co masz nadzieję? Nadzieję na trochę oddechu, na miłe spędzanie wolnego czasu? Nadzieję na spokojne życie bez przygód, życie prostego kucharza albo sprzedawcy butów?

— Dobrze wiesz, że nie o to chodzi.

— Więc powiedz, o co. Chciałabym usłyszeć to z twoich ust.

Zamykam oczy i widzę w wyobraźni kartę, która sześć lat temu wypadła z maszyny przepowiadającej przyszłość, kiedy to ze Stormy u mojego boku kupiłem za ćwierć dolara tę bezcenną przepowiednię.

— Droga pani, dobrze pani wie, co mówiła ta karta: „Waszym przeznaczeniem jest być razem na

zawsze”.

— A potem ona zmarła. Ale ty zachowałeś kartę. Uparcie wierzyłeś w prorocstwo. Czy nadal w nie wierzysz?

— Tak — odpowiadam bez wahania. — Muszę wierzyć. Tylko to mi pozostało.

— No dobrze, Oddie, więc jeżeli ta nadzieja cię napędza, czy nie jest tak, że w rzeczywistości pragniesz tego przyspieszenia, które cię rzekomo przeraża? Czy nie spieszno ci do spełnienia się tej przepowiedni? Być może ta lawina spływająca na ciebie to nic innego jak Stormy?

Otwieram oczy i znowu napotykam jej spojrzenie. Refleksy światła wyglądające jak migoczące skrzydełka na jej twarzy i w jej czarnych oczach są być może migotaniem złotych płomieni. Przypomina mi się, że ogień nie tylko pożera, lecz przez ogień następuje również oczyszczenie. A więc i odkupienie win.

Annamaria przekrzywia głowę, uśmiecha się.

— Czy mamy znaleźć jakiś zamek z odpowiednią komnatą, w której będziesz mógł się spełnić, odgrywając swoją wersję słynnego monologu Hamleta? Czy też wracamy do rzeczywistości?

Mimo wszystko reaguję uśmiechem.

— Najlepiej wrócić do rzeczywistości, droga pani.

Nasz bagaż to kosz z jedzeniem i golden retriever, podarowany nam w Magic Beach przez naszą przyjaciółkę Blossom Rosedale. Gdy już Raphael znalazł skrawek trawy i się wysikał, sunę za nim i Annamarią do domku numer 6, który wybrała dla siebie, i tam zostawiam kosz z jedzeniem.

Zaopatrzenie dostarczone, wycofuję się, ale na ganku odwracam się na głos Annamarii.

— Cokolwiek będzie się tu działo, zaufaj swojemu sercu. Jest tak wiarygodne, jak kompas.

Biały owczarek niemiecki Boo jest ze mną od kilku miesięcy. Teraz towarzyszy mi do domku numer 7. Ponieważ jest duchem, nie musi się wysikać i przechodzi przez drzwi, nie czekając, aż je otworzę.

Lokum jest czyste i przytulne. Pokój wypoczynkowy, sypialnia i łazienka. Domyślałam się, że w ciągu ostatnich lat przeprowadzono tu remont, podwyższając standard.

W obudowie dostrzegam nawet małą lodówkę pełniącą funkcję minibarku. Wyjmuję puszkę piwa i odrywam zawleczkę.

Czuję się zmęczony, ale nie senny. Świt za dwie godziny, czyli jestem od dwudziestu dwóch godzin na nogach, tymczasem od natłoku myśli wiruje mi w głowie.

Włączywszy telewizor, zasiadam z pilotem w fotelu,

a Boo bada każdy kąt domku, równie ciekawski po śmierci, jak za życia. Telewizja satelitarna oferuje duży wybór programów, ale prawie wszystkie są przestarzałe i prymitywne.

Skacząc po kanałach informacyjnych, orientuję się, że udaremnienie terrorystycznego ataku nuklearnego nie stało się faktem medialnym. Podejrzewam, że nigdy się nie stanie. Rząd uzna, że opinia publiczna woli pozostać nieświadoma zagrożeń kataklizmami, a klasa polityczna woli trzymać ludzi w nieświadomości niż wzbudzać podejrzenia o korupcję czy niekompetencję na szczytach władzy.

Na kanale National Geographic leci film dokumentalny o dzikich kotach, narrator informuje, że pantera to lampart, tyle że czarny, ale z dostrzegalnymi czarnymi cętkami. Pantera ze złotymi oczami patrzy prosto w kamerę, odsłaniając kły, i mówi niskim, grubym głosem: „Śpij”.

Uświadamiam sobie, że zanurzam się głębiej niż w półsen, w mroczny stan świadomości, kiedy sny i rzeczywistość mieszają się z sobą. Zanim rozleję piwo, wypuszczając z ręki puszkę, odstawiam ją prawie pustą na stolik przy fotelu.

Na ekranie pantera zaciska kły na antylopie, powala ją na ziemię i rozszarpuje jej gardło. Wstrząsająca scena okrucieństwa nie rozbudza mnie, tylko

przytłacza i ńka. Triumfujący kot podnosi łeb, łypie na mnie okiem, krew i ślina kapią mu z pyska, mówi: „Śpij... śpij”.

Nie tylko słyszę słowa, ale też je czuję, pulsujące fale dźwiękowe z głośników telewizora przepływają przeze mnie, odbieram je jak masaż dźwiękowy, rozluźniający napięte mięśnie i wyciszający system nerwowy.

Kilka hien nie spuszcza z oczu pantery, która wciąga teraz antylopę na drzewo, żeby urządzić sobie ucztę na wysokich gałęziach, gdzie jej nie dosięgną ani te podobne wilkom drapieźniki, ani lwy — one również nie potrafią się wspinać.

Jedna z hien, z dzikimi oczami, odrażająca, odsłania przed kamerą nieregularne zęby i szepcze: „Śpij”. Reszta stada powtarza „Śpij”, a fale dźwiękowe rezonują we mnie, wywołując superprzyjemny narkotyczny efekt, podobnie jak głos pantery na drzewie, gdy tymczasem łeb antylopy wisi na strzępie szyi, a oczy są zastygłe w najdoskonalszym ze snów.

Zamykam powieki, a pantera z półjawy nie znika. Towarzyszy mi we śnie, słyszę miękkie, ale ciężkie stąpnięcia jej łap, czuję zwinną sylwetkę wędrującą w moim mózgu. Przez moment odczuwam niepokój, ale intruz zaczyna mruczeć i to mnie uspokaja. Teraz wielki kot wspina się na kolejne drzewo i chociaż nie

jestem martwy, taszczy mnie z sobą, a ja nie mam siły stawiać oporu. Nie boję się, bo bestia mówi mi, żebym się nie lękał, i jak poprzednio to nie tylko sens jej słów, lecz również wytwarzane przez nie fale dźwiękowe uspokajają mój wzburzony umysł.

Wspina się na drzewo nocy, czarne gałęzie sięgają wysoko w bezgwiazdne niebo i nic nie widać, tylko świecące jak latarnie oczy pantery, które są coraz większe i jaśniejsze i błyszczą jak oczy sowy. Niskim, grubym głosem pantera mówi: „Dlaczego nie mogę cię odczytać?”. Być może to nie pantera ani sowa, ponieważ czuję nagle dotyk — zdaje się, że palców — jak gdybym stał się książką o niezliczonych stronach, które są kolejno odwracane, lecz okazują się niezadrukowane, a palce przesuwają się po papierze, szukając wypukłych znaków, jakby czytały biografię w alfabecie Braille’a.

Nastrój się zmienia, wyczuwam frustrację rzekomego czytelnika, w ciemności oczy pantery robią się zielone, a źrenice owalne. Jeżeli śnię, to jest to coś więcej niż po prostu sen.

Zwykły sen nie może mieć scenariusza pisanego przez śniącego, tymczasem gdy ja zażyczyłem sobie światła, okazuje się, że jestem w mocy je przywołać. Ciemność zaczyna stopniowo ustępować, zarysowują się powyginane gałęzie drzewa i z mroku wyłania się

sylwetka owego czytelnika.

Zostaję wyrwany ze snu, jakby wyrzuciła mnie z niego ta tajemnicza postać z koszmaru sennego. Zrywam się na równe nogi, kątem oka dostrzegam jakiś ruch po mojej prawej ręce, lecz gdy zwracam się w tamtą stronę, nikogo nie widzę.

Za plecami słyszę pobrzęk, jakby para wprawnych rąk wykonała na harfie arpeggio na basowych strunach. Kiedy się odwracam, nie znajduję konkretnego źródła dźwięków, lecz one się powtarzają, choć nie z miejsca, skąd dochodziły, tylko z sypialni.

Idę ich tropem, przemierzam sypialnię, stoję przed lekko uchylonymi drzwiami łazienki. Za nimi jest ciemność.

Z powodu skrajnego zmęczenia i rozchwiania emocjonalnego zapomniałem o zabraniu z sobą pistoletu. Został w mercedesie, wsunięty pod przedni fotel pasażera.

Ten pistolet był wcześniej własnością pastorowej z Magic Beach. Wielebny zastrzelił żonę, zanim zdążyła użyć broni. W ich odmianie chrześcijaństwa wierni są widocznie zbyt niecierpliwi, by czekać, aż dzięki modlitwie rozwiążą swoje problemy.

Pcham uchylone drzwi łazienki i zapalam światło. Pobrzękiwanie jest głośniejsze, lecz dochodzi z tyłu.

Odwróciwszy się, stwierdzam, że wrócił Boo, lecz

nie on jest głównym obiektem mojego zainteresowania. Moją uwagę zwraca to, co poraziło również psa: szybko poruszające się, transparentne coś, zauważalne jedynie dzięki temu, że zniekształca obraz przedmiotów, gdy przemyka przez sypialnię, pokój wypoczynkowy, a wreszcie wydaje się, że wskakuje do ekranu telewizora, nie rozbijając go. I znika.

Bezkształtna zjawia tylko mignęła i mógłbym podejrzewać, że była wytworem mojej wyobraźni, gdyby nie to, że na ekranie telewizora, na tle obrazów z życia dzikich zwierząt, bo film się jeszcze nie skończył, pojawiają się koncentryczne kręgi jak na wodzie po wrzuceniu kamienia.

Mrugam kilkakrotnie i zastanawiam się, czy to realne, czy też mam jakiś problem z widzeniem. Zjawisko stopniowo traci na intensywności i wkrótce obraz na ekranie jest wyraźny i stabilny.

To nie był duch. Kiedy się natykam na ociągającą się z odejściem z tego świata zmarłą osobę, widzę ją taką, jaka była za życia, nie porusza się szybko i nadażam za nią wzrokiem.

Duchy nie mówią i nie produkują żadnych dźwięków. Nie dzwonią łańcuchami. Nie słyszą odgłosów ich kroków. Nic nie ważą, więc schody nie trzeszczą, gdy idą. I z pewnością nie wykonują



arpeggio na basowych strunach harfy.

Patrzę na Boo.

Boo patrzy na mnie. Nie macha ogonem.